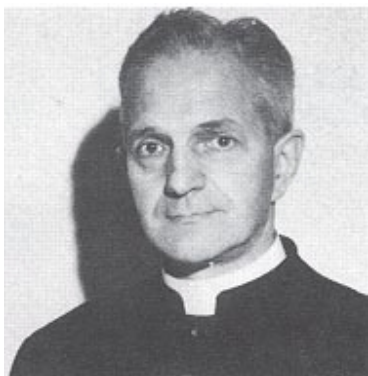


Ks. Józef Rybiński **(1895-1983)**



Józef Rybiński przybył do Stanów Zjednoczonych z rodzicami, Józefem i Heleną, z Polski, z Brodnicy, gdzie ukończył gimnazjum. Od 1914 do 1917 roku był uczniem Kolegium Najświętszej Maryi Panny w Orchard Lake. Jako wyjątkowo zdolny uczeń, został wysłany na studia teologiczne na Uniwersytet Katolicki we Fryburgu w Szwajcarii, uwieńczone w 1925 roku doktoratem. Świecenia kapłańskie otrzymał w 1920 roku w Detroit z rąk bpa M. Gallaghera. W tym też roku rozpoczęła się jego służba kapłańska, nie mająca sobie równej w Orchard Lake. Od 1925 aż do 1967 roku był dziekanem - dyscyplinariuszem Seminarium. Wdrażał klerycę młodzież Polonii w tę dyscyplinę życia kapłańskiego, bez której nie może być mowy o odpowiedzialnej pracy kapłańskiej. Uczył języków: greckiego, hebrajskiego i łaciny. Wykładał liturgię i Pismo św. Za kadencji aż pięciu rektorów pełnił funkcję wicerektora Zakładów Naukowych w Orchard Lake. Był wreszcie ojcem duchownym, który nie tylko uczy studentów Pisma św., teologii ascetycznej i mistycznej, ale który ma za zadanie wdrażać przyszłych kapłanów Polonii w Boży ład życia wewnętrznego.

Ks. prał. dr Józef Rybiński przez wiele lat pełnił obowiązki redaktora i członka komitetu redakcyjnego "Sodalisa", którego głównym zadaniem było podtrzymywanie łączności między coraz bardziej rozproszonymi Polakami w Stanach Zjednoczonych oraz szerzenie tradycji duszpasterskich i zaznajamianie Polonii z nowymi zarządzeniami Kościoła.

Specjalnością ks. prof. Rybińskiego było Pismo św., którego był wielkim znawcą, oraz liturgia, której rubryki i ducha wpajał studentom, przyszłym kapłanom Polonii. Ogromnie surowy dla siebie, pracowity ponad miarę, był wymagającym, ale również oddanym przyjacielem studentów, a w ostatnich latach jako ojciec duchowny - najintymniejszym powiernikiem myśli i uczuć młodzieży seminaryjnej. Swoją postawą, sposobem życia, wiedzą, a przede wszystkim kapłańską gorliwością stał się niedościgłym przykładem do naśladowania. Nie można pisać dziejów Zakładów Naukowych w Orchard Lake, a tym samym i katolickiej Polonii, bez znajomości wpływu, jaki przez pięćdziesiąt lat wywierał na nią ks. dr Rybiński.

W maju 1970 roku, w roku jubileuszowym ks. Dąbrowskiego, Zakłady Naukowe w Orchard Lake, a z nimi i Polonia, przeżyły złoty jubileusz kapłański tego wyjątkowego kapłana, pedagoga i wychowawcy, jednego z najwybitniejszych, jakich w swych dziejach miała Polonia.

A oto wspomnienia ks. dr Józefa Rybińskiego o jego dochodzeniu do kapłaństwa, napisane z okazji złotego jubileuszu i opublikowane w "Sodalisie" nr 6 z 1970 roku:

Moje pierwsze pięćdziesięciolecie

Pierwszą "mszę" odprawiłem 72 lata temu. Meji matki fartuch służył za \ ornat, zwykły kubek za kielich. Siostra, o rok ode mnie starsza, była ministrantem.

Pierwsze zaś "kazanie" wygłosiłem 71 lat temu. Rodzice poszli na mszę św., sąsiadka miała oko na nas, wówczas dwoje dzieci. Kazalnicą były dwa krzesła, jedno na drugim. Siostra z uwagą słuchała kazania - niedługo, bo kaznodzieja spadł z wysokiej kazalnicy i rozbił sobie czoło tuż nad okiem. Matka i ojciec wrócili z kościoła - i było drugie kazanie... Ile to razy w późniejszym życiu dziękowałem Bogu za dobrą, rozsądną matkę, za szlachetnego i wesołego ojca.

Tak to się rozpoczął mój "wiek sielski-anielski".

"Kto ty jesteś? Polak mały! Jaki znak twój? Orzeł biały!" Takich i innych patriotycznych wierszyków uczyła mnie moja światła ciotka. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z tego, że te poezje były skierowane przeciw niemieckim okupantom. Dość rychło jednak poznałem, jak butny Niemiec rządził w polskim kraju. W szkole ani słowa po polsku. Uczono nas religii, ale chłopak w pierwszym stopniu nie rozumiał, co mówił, bo w domu wśród rówieśników przy zabawie słyszał tylko polską mowę. Podczas uroczystości na cześć cesarza niemieckiego mój kolega w gimnazjum nie powstał na okrzyk "Der Kaiser lebe hoch" (niech żyje cesarz) i za to został wydalony. Podziwiałem cicho jego odwagę, ale sam nie mógłbym się na nią zdobyć! On był synem lekarza, wyjechał na dalsze studia do Francji; my zaś, ludzie prości, jeno we własnym kółku śpiewaliśmy: "Jeszcze Polska nie zginęła".

Babka moja była niewiastą bardzo pobożną. Kochałem ją i gdy z książki do nabożeństwa modliła się, siadałem przy niej i pewnie od niej nabyłem nieco dziecięcej pobożności. Mimo to w rodzinie zdobyłem miano "Dziki Józwa". Stale byłem w biegu, jak przystało na Dzikiego Józwę. Druga moja babka, u której na wsi spędzałem przemiłe letnie wakacje, truchlała z trwogi o mnie, że gdzieś tam wśród gruzów starego pokrzyżackiego zamku kark sobie skręć albo że utonę w pobliskiej rzece, gdzie rzeczywiście dwa razy byłem bliski tonięcia.

Tam na wsi u babki popełniłem pierwszy w moim życiu grzech - grzech kłamstwa. Byłem z kolegami w polu i przyszła na mnie kolej, aby zagnać z bezdroża ich gęsi. Z daleka rzuciłem kawał gałęzi i trafiłem jedną głupią gęś w głowę. Gęś trzeba było zabić. Mimo że jakie tysiąc razy ciotka, najlepsza w świecie ciotka, pytała, czy ja to zrobiłem, zaparłem się, i raz się zaparłszy, trwałem w tej zatwardziałości. Wrodzona pycha nie pozwalała mi przyznać się do "zbrodni". A może w tym było więcej tchórzostwa i lęku niż pychy? Ten "grzech" ciążył mi na sumieniu. Nie pamiętam, ale musiał on być jednym z pierwszych, gdy dwanaście mając lat, po raz pierwszy byłem u spowiedzi.

Lata chłopięce, mimo młodzieńczych wybryków i młodzieńczej swawoli, płynęły pełne pokoju i szczęścia w domu rodzinnym, w gronie rodziców i moich kochanych sióstr oraz wśród kolegów.

Te lata anielskie przywodzą mi na pamięć owe rozłożyste kasztany przy farnym kościele, rozkwitłe w maju, owe wąskie uliczki małego miasta Brodnicy, owe gwarne jarmarki na głównym rynku, owe rzewne nabożeństwa majowe w ciemnym, liczącym 600 lat starym kościele; przywodzą żywo na pamięć krzątanie się mej matki w schludnej kuchni i wreszcie niezapomniany warsztat szewski mego ojca, gdzie wraz z czeladnikami i uczniami musiałem kleić napiętki.

Lecz, niestety, stan zdrowia mojego nad życie ukochanego ojca stale się pogarszał. I nadszedł w końcu czas, że musieliśmy szukać chleba za oceanem, w dalekiej Ameryce. Miałem wówczas lat osiemnaście.

Ciężko było opuszczać łąki i lasy oraz jeziora mazurskie. Tam razem z rodzicami prawie każdej niedzieli po południu spędzaliśmy miłe chwile na długich przechadzkach, szukając, wśród śpiewu i wesela, konwalii, kluczyków, potem jagód i wreszcie grzybów. Nie mniej trudno przyszło mi żegnać kolegów i zrywać drogie sercu przyjaźnie.

Lecz "góry porzucić trzeba dla chleba, panie, dla chleba". Dziś, po sześćdziesięciu blisko latach, widzę rękę Opatrzności Bożej w tej naszej wędrówce do Ameryki. Było to tuż przed I wojną światową. Jak Abrahama do Ziemi Obiecanej, tak nas, jak wielu innych, Bóg przeprowadził do Ameryki.

I rozpoczął się dla mnie "wiek górny, wiek chmurny", jak być powinno w drodze do dojrzałości mózgu, serca i woli.

Przez rok pracowałem w różnych fabrykach. Był to rok twardej, ale jakże owocnej szkoły. Po roku wstąpiłem do Seminarium Polskiego w Orchard Lake.

Poza darem życia i poza łaską wiary katolickiej poczytuję sobie za szczególny dar od Boga łaskę kapłaństwa Chrystusowego.

Orchard Lake! Polskie Seminarium w Orchard Lake!

Jeśli za co Bogu dziękuję, to za Orchard Lake i za wszystko, co w nim było i jest: za studia tu odbyte, za trudy i walki tu stoczone, za radości, których tu doświadczyłem, za sposobność po wyświęceniu daną mi dalszych ' studiów i za przywilej należenia do grona profesorskiego w naszym zakładzie. Doprawdy, żyjemy tu jak jedna, zgodna rodzina. Czasem mam obawę, że jest mi tu za dobrze. Moją trwałą pociechą są nasi studenci i klerycy. Tyle w nich dobrej woli i chęci do poświęceń. Nielatwo im znaleźć siebie w tych czasach przełomowych. "Nadzieja żniwa - w nasieniu", "Spes messis in semine!".

Proszę Boga, abym w Orchard Lake dokonał kiedyś żywota. Na razie, z pewnym ograniczeniem, nadal pracuję wraz z innymi profesorami i ks. rektorem. I chociaż poeta mówi dalej: "Połały się łyzy me czyste, rzęsiste na mój wiek męski, wiek kłęski", to ja, mimo wielu mizერიi i słabości wszelakiej, tej kłęski nie doświadczyłem, wobec tylu życzliwych mi serc, a zwłaszcza nieskończonego miłosierdzia Pana Boga.

*Ks. Z. Peszkowski, Ludzie stulecia 1885-1985
Orchard Lake, s. 185-188*